

Michał Przeperski: „Annus mirabilis”, albo „Meisterstück”. Rzecz o ignorowaniu

RFN będąca militarnym karłem, pozostawała w 1989 r. potężna pod każdym innym względem. Również i tym, że jako jeden z pierwszych państw świata zaczęła prowadzić bardzo świadomą i precyzyjnie zaplanowaną politykę historyczną. W budzący podziw sposób, Niemcy Zachodni – nie odzegnujący się od prawno-organizacyjnego spadkobierstwa po III Rzeszy – przekonali świat, że odpokutowali za przewiny ojców – pisze Michał Przeperski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Epoka Merkel”.

W siódmym tomie *Dzienników politycznych* Mieczysława Rakowskiego, pod datą 17 kwietnia 1979 r. znajdziemy frapującą notkę. Ówczesny redaktor naczelny tygodnika „Polityka” i jeden z najlepszych znawców RFN, zapisał: „Coraz bardziej umacnam się w przekonaniu, że jeszcze w tym wieku dojdzie do zjednoczenia Niemiec”. Niebywałą przenikliwością wykazałby się ten, kto w dziesięć lat przed upadkiem Muru Berlińskiego, dostrzegłby pęknięcia w globalnym układzie sił, które doprowadzą do załamania porządku pojałtańskiego! Niestety. Rakowski swoje „prognozy” dodał do oryginalnego tekstu w trakcie przygotowań do wydania dzienników już u progu XXI wieku.

Nie bądźmy jednak niemądrze surowi. Upiększanie własnego politycznego portfolio *post factum* nie zostało wymyślone wczoraj i z pewnością nie wiedli w nim prymu akurat dawni budowniczy PRL.

Zamiast zastanawiać się nad tym jak bardzo groteskowe jest strojenie się w szaty Wernyhory, lepiej zastanowić się nad tym czy ktokolwiek rzeczywiście mógłby przewidzieć to, do czego doszło jesienią 1989. W ciągu kilku dni, najdalej kilku tygodni, otworzyły się wtedy możliwości o jakich nie śniło się dwudziestowiecznym Talleyrandom od Waszyngtonu po Moskwę: otworem stanęła droga do zjednoczenia Niemiec. Droga, którą Niemców powiódł charyzmatyczny kanclerz Helmut Kohl.

Dyskutując nad okolicznościami jakie doprowadziły do tego wydarzenia, rzadko akcentuje się rolę Sowietów i Michaiła Gorbaczowa. Lub może inaczej: akcentuje się ją, ale na ogół sprowadzając ją do gorbimanii, zdumiewającej popularności, na pograniczu hysterii, jaka opanowała Europę Zachodnią w drugiej połowie lat 80. Ale nie ona jest tu kluczowa. Ważniejsze jest to, że Gorbaczow wraz z Ronaldem Reaganem odegrali ostatni akt sztuki o dwubiegunowym układzie świata. Duet mocarstw miał konsensualnie rozstrzygnąć o tym jakie będą losy mniejszych. Bo przecież spotkania na szczycie w Genewie, Reykjavíku, Waszyngtonie, Moskwie i ponownie w Waszyngtonie – to właśnie miały na celu. Przy okazji też kilka innych zbożnych celów, jak deeskalacja napięcia międzynarodowego czy osłabienie tempa wyścigu zbrojeń. Ale jednak podstawowy cel był taki właśnie.

Gorbaczow wraz z Ronaldem Reaganem odegrali ostatni akt sztuki o dwubiegunowym układzie świata

Nie bez kozery jadąc na ostatnie spotkanie z Reaganem w grudniu 1988 r. Gorbaczow powtarzał swoim współpracownikom,

że planowane przemówienie sowieckiego przywódcy na forum ONZ będzie „nowym Fulton”. To z kolei było czytelnym dla wszystkich dyplomatów odwołaniem do przemówienia Churchilla z marca 1946 r., w którym ubrał on w słowa prawdę o powojennym podziale świata. Czy jednak można sobie wyobrazić bardziej dramatyczną pointę tego wydarzenia niż ta, jaką dopisało życie? Wyjeżdżając z siedziby ONZ triumfujący Gorbaczow dostał wiadomość o katastrofalnym trzęsieniu ziemi w Armenii. Był to koszmar dla ludności tych terenów. Miało ono także znaczenie symboliczne – z ziemi starte zostało miasto Leninakan – oraz zupełnie praktyczne, stanowiąc kolejny cios w serce i bez tego ledwie zipiącej sowieckiej gospodarki.

Już wcześniej rola Sowietów w kształtowaniu ładu światowego musiała być ograniczona, z uwagi na słabnący potencjał ekonomiczny kraju. Ale właśnie w grudniu 1988 r. rozsypały się mocarstwowe plany sekretarza generalnego – zupełnie jak płytowe bloki, pełne wad konstrukcyjnych, jakie runęły w armeńskich miastach. Jednak duet mocarstw, pozostałość dawnego tercetu z Jałty, kwintetu z Wersalu, czy całej orkiestry z Wiednia, był formą do której przywiązani byli Amerykanie. Dla stabilnego funkcjonowania świata potrzebowali oni przeciwbieguna i Moskwa, choć dramatycznie słaba, ciągle nim pozostawała.

Tymczasem *annus mirabilis* 1989 miał nie tylko ten wymiar, że skończyła się w Europie Środkowej władza sprawowana z nadania Moskwy i żyrowana czołgami Armii Radzieckiej. Cudem także – a może po prostu znakomicie wykonanym *Meisterstück*-iem – były sukcesy dyplomacji zachodnioniemieckiej. W ciągu bardzo krótkiego czasu jesienią 1989 r. przedstawiła ona Sowietom warunki wsparcia kredytowego, jakich konsekwentnie odmawiała wcześniej nie tylko

krajom satelickim, ale także samej Moskwie. Dogadawszy się, fakt że jedynie wstępnie, z Gorbaczowem, trzymający twardo w rękach lejce erefenowskiej polityki kanclerz Helmut Kohl zignorował stanowiska pozostałych krajów. Przede wszystkim zignorował hegemonia: USA musiały od tego momentu robić dobrą minę do złej gry.

W grudniu 1988 r. rozsypały się mocarstwowe plany sekretarza generalnego – zupełnie jak płytowe bloki, pełne wad konstrukcyjnych, jakie runęły w armeńskich miastach

To rzecz jasna uproszczenie, ale nieprzesadne. RFN będąca militarnym karłem, pozostawała w 1989 r. potężna pod każdym innym względem. Również i tym, że jako jeden z pierwszych państw

świata zaczęła prowadzić bardzo świadomą i precyzyjnie zaplanowaną politykę historyczną. W budzący podziw sposób, Niemcy Zachodni – nie odżegnujący się od prawno-organizacyjnego spadkobierstwa po III Rzeszy – przekonali świat, że odpokutowali za przewiny ojców. A to przecież przewiny ojców doprowadziły do sytuacji sprzed 1989 roku: do klęski, do okupacji, a wreszcie do podziału na część zachodnią i wschodnią.

W tym wątku, raz jeszcze powraca Mieczysław Rakowski. Gdy od jesieni 1988 r. do lata 1989 r. piastował on funkcję premiera PRL, za jeden z najważniejszych elementów swojej politycznej agendy uznawał znormalizowanie stosunków z RFN. Znormalizowanie jedno miało wówczas imię: kredyty. Bez poważnych kredytów z Zachodu Polska nie mogła marzyć o jakiegokolwiek modernizacji. Ale na dobrą sprawę i to

było mało: dla Warszawy warunkiem funkcjonowania było uzyskanie ulgi w spłatach kredytów zaciągniętych już dawniej, jeszcze w czasach gierkowskich.

Jesień 1988 była pod tym względem jednym wielkim spektaklem medialnym – jednym z pierwszych tego rodzaju jakie mogli oglądać śmiertelnie znużeni komunizmem Polacy. W październiku w Dzienniku Telewizyjnym pojawił się Mieczysław Wilczek. Dziarski przedsiębiorca zajął fotel ministra przemysłu i rozsiadł się w nim bez kompleksów. Pouczał, strofował, wskazywał proste rozwiązania, które wyglądały jak strzał w dziesiątkę dla krajowej ekonomiki. Niemrawi doradcy zagraniczni, pokazywani we flagowym programie – bardziej propagandowym niż informacyjnym – wyrzucali z siebie rozmaite złote myśli. „Trzeba wzmocnić polską gospodarkę” – mówił jeden. „Ekonomiczne relacje polsko-zachodnioniemieckie nie są w pełni satysfakcjonujące” – dodawał inny. Nad Wisłą tworzyło to wrażenie jakiejś odczuwalnie nowej jakości.

Jak ta nowa jakość wyglądała w dyplomacji? Rakowski i jego dyplomaci używali na wszelkie sposoby argumentu „z reformy”. W rozmowie z „Le Figaro” w lutym 1989 r. premier mówił wprost: „Jeśli chodzi o demokrację – zawsze można się porozumieć. Ale gospodarka – to jest bardziej skomplikowane”. Było. Oficjalne i nieoficjalne rozmowy w Europie kończyły się każdorazowo jedną konkluzją: kredyty popłyną do Polski, jeżeli zielone światło da Bonn. A Bonn zielonego światła nie dawało. Ba, raczej dość demonstracyjnie ignorowało starania Polaków o uzyskanie wsparcia i korzystnych decyzji.

*Oficjalne i nieoficjalne
rozmowy w Europie kończyły
się każdorazowo jedną
konkluzją: kredyty popłyną do
Polski, jeżeli zielone światło
da Bonn*

„Potrzebujemy 3–4
lat oddechu, bo w
przeciwnym razie
Polska będzie się
pogrążać, a to może
negatywnie wpłynąć
na stosunki Wschód
– Zachód, na Europę.
Gdyby w Polsce

doszło do załamania się tego klimatu, to przyszłość Gorbaczowa i pieriestrojki byłaby pod znakiem zapytania” – mówił Rakowski prezydentowi Francji. Podobna argumentacja wybrzmiewała w Bonn, ale Niemcy uprzejmie uśmiechając się byli na nią głusi. Byli również głusi na ostateczny – jak się wydawało Polakom – argument możliwy do zastosowania w rozmowach. Rok 1989 oznaczał 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Są Niemcy Polakom coś winni – a zatem pieniądze dla gasnącej polskiej gospodarki są rodzajem dziejowej sprawiedliwości. W jakimś sensie: po prostu się Polakom należą. Zignorować takiego argumentu po prostu nie można! – myślano w Warszawie. Błąd.

Również i te uroszczenia zostały zignorowane, choć może nie całkiem. W maju 1989 r. do Warszawy przyjechał lider FDP Otto von Lambsdorff i w trakcie rozmów otwarcie wskazywał, że Polska nie ma co liczyć na napływ kapitału niemieckiego, jeśli nie zapewni swobodnego transferu zysków do RFN. Na tym oczekiwania niemieckie się nie kończyły: najtrudniejszym symbolicznie postulatem było uznanie istnienia w Polsce mniejszości niemieckiej – bez wzajemności z drugiej strony. Pomimo rokowań prowadzonych od lutego 1989 r. – strony nie zbliżyły się do siebie. Niemcy czynili Rakowskiemu rozmaite afronty. I trudno

naprawdę dziś nie zadać pytania: czy dlatego, że rozumieli, że jego osobista pozycja słabnie, czy raczej dlatego, że Warszawa była na ich szachownicy pionem -i to pionem możliwym do zbicia.

Do wyboru tej ostatniej odpowiedzi – co rzecz jasna nasuwa się samo – skłaniają losy porozumienia polsko-niemieckiego w latach 1989-1991. Choć kilka lat temu obchodziliśmy jego 25. Rocznicę i przy tej okazji nie zabrakło rozmaitych drobnych a miłych gestów, to rzeczywistość traktatu polsko-niemieckiego jest jasna: jego kształt jest funkcją miażdżącej przewagi niemieckiej w każdym aspekcie. Antoni Dudek w swojej ostatniej książce jako jeden z pierwszych badaczy nazwał rzecz po imieniu: Bonn potraktowało Warszawę jak żebraka Europy. W wersji delikatniejszej można powiedzieć: jak uciążliwego petenta.

Trudno nie podziwiać sztuki umiejętnego ignorowania, jaką zaprezentowali w końcu lat 80. i na początku lat 90. Niemcy: najpierw jako Niemcy Zachodnie, a później już jako te zjednoczone. Umiejętna polityka – jak widać – zakłada grę na wielu fortepianach: od ekonomii, aż po politykę pamięci. Ten kto może tak grać, nadaje ton całej epoce. Podobieństwa do czasów znacznie nam bliższych wydają się zresztą zupełnie nieprzypadkowe.

Michał Przeperski

Michał Przeperski – ur. 1986, doktor historii, pracownik Instytutu Historii Nauki PAN i Muzeum Historii Polski, specjalizuje się w dziejach Europy Środkowej w XX wieku. Autor książek „Gorące lata trzydzieste. Wydarzenia, które wstrząsnęły Rzeczpospolitą”, „Niežnośny ciężar braterstwa. Konflikty polsko-czeskie w XX wieku” i „Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna”. Laureat nagrody „Nowych Książek” dla najlepszej książki roku (2017), Nagrody Naukowej tygodnika "Polityka" (2021) i Nagrody Specjalnej Fundacji Identitas (2021).



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i **Sportu.**



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

